POWIEŚĆ AUTORA „ZAKLINACZA KONI”

NICHOLAS EVANS

W PĘTLI

1

Niektórzy sądzą, że zapach morderstwa może trwać w jakimś miejscu przez lata. Powiadają, że napełnia on ziemię i powoli przenika do krętych korzeni, tak że w końcu wszystko, co tu wyrasta, od kępki pleśni po najwyższe drzewo, daje o nim świadectwo.

Być może wilk czuł to, kiedy owego popołudnia milczkiem sunął przez las, a jego kościsty grzbiet ocierał się o najniższe gałęzie sosen i jodeł. I być może owa wnikająca do jego nozdrzy opowieść o tym, że sto lat wcześniej padło tu tak wielu jego krewniaków, powinna była go zawrócić.

A przecież szedł uparcie przed siebie.

Wyruszył poprzedniego wieczoru, pozostawiając pobratymców w górskiej krainie, gdzie nawet teraz, w lipcu, kwitły jeszcze wiosenne kwiaty, a płaty przybrudzonego śniegu kryły się w szczelinach przed słońcem. Najpierw brzegiem grani skierował się na północ, a potem skręcił na wschód i podążył śladem krętego kanionu, który wodę ze stopionego śniegu odprowadzał w dół, ku dolinom i nizinom. Trzymał się zboczy i unikał ścieżek, szczególnie tych, które biegły nad wodą, gdyż o tej porze spotykało się tutaj czasami ludzi. Nawet po nocy, jeśli tylko było to możliwe, starał się nie porzucać mroku panującego pod drzewami.

Poruszał się truchtem tak lekkim, iż można by pomyśleć, że łapy nie dotykają w ogóle ziemi. A także, że dąży do jakiegoś celu.

Kiedy wstało słońce, zatrzymał się przy wodzie, aby się napić, potem znalazł małą jamę wysoko w skale i przespał w niej skwar południa.

Teraz, gdy schodził w kierunku dna doliny, podróż zrobiła się trudniejsza. Zbocze było strome, a zwalone drzewa pokrywały je tak gęsto, jak gdyby były przygotowane na rozpałkę w jakimś baśniowym piecu. Wilk musiał starannie wyszukiwać drogę, a niekiedy cofał się nawet i wynajdywał inną ścieżkę, aby nie zakłócić ciszy zdradzieckim trzaskiem zeschłej gałęzi. Gdzieniegdzie między konarami przeświecało słońce i wykrawało stawy jasnej zieloności, które samiec zawsze ostrożnie omijał.

Był czterolatkiem, przywódcą stada. Miał długie nogi i niemal kruczoczarną sierść, i tylko na bokach, szyi i wokół nozdrzy widać było leciutkie smugi szarości. Co jakiś czas opuszczał łeb, aby obwąchać krzak czy kępkę trawy, a potem zadzierał łapę, aby ów dawno porzucony teren oznaczyć jako swój. Kiedy indziej zatrzymywał się, podnosił łeb i ze zmrużonymi, świecącymi żółto ślepiami chwytał w nozdrza wonne informacje, niesione z dna doliny przez prądy powietrzne.

Za którymś razem wyczuł coś znacznie bliższego, obejrzał się i dostrzegł dwie sarny o białych ogonach, starą i młodą, które zastygły o kilkanaście metrów w snopie słonecznego światła i wpatrywały się w niego. Także i on nie spuszczał z nich ślepi i trwali tak we wspólnocie, którą rozumiała nawet sarenka; przez chwilę poruszały się tylko paprocie i owady wirujące nad łbami zwierząt. A potem, jak gdyby sarny znaczyły dla niego tyle samo co insekty, wilk odwrócił pysk i znowu zaczął węszyć.

Z odległości ponad dwóch kilometrów nadpływały zmieszane zapachy doliny. Bydło, psy, ostra woń należących

do ludzi maszyn. A chociaż nawet bez żadnej wcześniejszej wiedzy powinien rozumieć groźbę związaną z takimi rzeczami, to jednak ruszył dalej w dół, a sarny nieodgadnionym spojrzeniem czarnych ślepi odprowadzały go, aż zniknął między drzewami.

Dolina, w którą wstępował wilk, ciągnęła się jakieś piętnaście kilometrów na wschód, coraz szerszą kotliną schodząc do miasteczka Hope. Jej brzegi wyznaczały dwie granie, zbocza pokrywał gęsty sosnowy las, a kiedy widziało się ją z góry, wydawało się, że wyciąga tęskne ramiona ku wielkiej, wyblakłej od słońca równinie, która od wschodniego skraju miasta ciągnęła się aż po horyzont, a nawet poza niego.

W najszerszym miejscu dolina liczyła sobie od grani do grani sześć kilometrów. Trudno ją było uznać za wymarzone miejsce na wypas zwierząt, chociaż wielu ludzi z tego się utrzymywało, a paru stało się nawet bogaczami. Tak czy owak, za dużo było tutaj bylicy, kamieni, a każdą większą połać trawy przecinał znienacka strumień, zarośnięty krzewami, z głazami szczerzącymi się z dna. W połowie doliny kilkanaście tych potoków łączyło się, tworząc rzeczkę, która pomiędzy kępami topoli spływała do Hope, a potem dalej do Missouri.

Wszystko to można było dojrzeć z miejsca, gdzie wilk się zatrzymał. Stał na wapiennej ostrodze, która wyzierała spomiędzy drzew niczym dziób skamieniałego statku. Niżej skaliste zbocze stromo opadało do miejsca, gdzie las i góra ustępowały pastwiskom. W cieniu i na słońcu pasły się grupkami czarne krowy i cielęta, a na skraju łąki stało małe gospodarstwo.

Spoglądało z góry na łuk potoku, którego brzegi porastały brzozy i dzikie wiśnie. Po jednej stronie przytulały się do domu zabudowania i ogrodzony białym płotem wybieg dla koni. Drewniane ściany pomalowane były na ciemnoczerwony kolor. Od południowej strony znajdował

się długi ganek, teraz, gdy słońce osiadało na wzgórzach, zalany ostatkami słonecznego złota. Okna wzdłuż ganku stały otworem, a lekki wietrzyk poruszał firankami.

Gdzieś ze środka dobiegał szum radia i może dlatego nikt nie usłyszał płaczu dziecka. Ciemnogranatowy wózek na ganku zakołysał się odrobinę, a para różowiutkich rączek wzniosła się, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nikt się jednak nie zjawił. Uciszone w końcu dotykiem słonecznych promieni na dłoniach, dziecko przestało płakać i zaczęło gaworzyć.

I słyszał to tylko wilk.

• • •

Kathy i Clyde Hicksowie żyli w bordowym domu już prawie od dwóch lat, a gdyby Kathy chciała być szczera wobec siebie (czego oczywiście nie starała się robić, bo jeśli nic nie można zmienić, to po co jeszcze zadręczać samą siebie), musiałaby powiedzieć, że go nienawidzi.

No dobrze, „nienawiść" to może za mocne słowo. W lecie, na przykład, było zupełnie przyjemnie, chociaż nawet wtedy miało się uczucie, że zbyt daleko stąd do cywilizacji: bez żadnej osłony. A o zimach lepiej było w ogóle nie myśleć.

Przenieśli się tutaj przed dwoma laty, wkrótce po ślubie. Kathy miała nadzieję, że dziecko zmieni jej opinię na temat tego miejsca, i w pewnym sensie rzeczywiście tak się stało. Miała przynajmniej do kogo otworzyć usta, kiedy Clyde zajmował się gospodarstwem, chociaż rozmowa na razie była raczej jednostronna.

Miała dwadzieścia trzy lata i czasami żałowała, że nie poczekała trochę z małżeństwem, zamiast zawierać je zaraz po college'u. Skończyła studia agrotechniczne na Montana State University w Bozeman, a jedyną z tego korzyścią były trzy dni w tygodniu, które poświęcała na załatwianiu dla ojca papierkowej roboty w głównym kompleksie rancza.

O miejscu, gdzie mieszkali rodzice, zawsze myślała jako

o domu i często dochodziło do kłótni z Clyde'em, gdy je tak głośno nazywała. Było to raptem kilka kilometrów od nich, ilekroć jednak wsiadała do samochodu, aby wracać, odczuwała w środku może nie tyle ból, ile tępy żal. Natychmiast starała się go odegnać, przemawiając do dziecka siedzącego na tylnym fotelu albo znajdując w radiu muzykę country, którą nastawiała naprawdę głośno, a jeszcze głośniej przyśpiewywała.

Właśnie teraz miała nastawioną ulubioną stację i kiedy czyściła kukurydzę i patrzyła na psy śpiące na słońcu pod stodołą, poczuła się trochę lepiej. Grali kawałek, który jej się podobał, Kanadyjka o potężnym głosie opowiadała swojemu chłopakowi, jak to jest fajnie, kiedy „podwozi ją na traktorze". Kathy zawsze zaczynała się przy tym śmiać.

Mój Boże, nie powinna tak wydziwiać. Miała dobrego męża i piękne, zdrowe dziecko, a nawet jeśli żyli gdzieś na końcu świata, to przynajmniej mieli swój własny kąt. W Hope było wiele osób w jej wieku, które za coś takiego dałyby sobie obciąć rękę. A ona sama była wysoka, miała wspaniałe włosy, a chociaż po ciąży nie odzyskała dawnej sylwetki, to przecież wiedziała, że mogła się przejechać, na jakim by chciała traktorze.

Kathy nigdy nie miała kompleksu niższości. Była córką Bucka Caldera. A w tej okolicy to naprawdę coś znaczyło. Ranczo ojca należało do największych po tej stronie Heleny i Kathy, wzrastając, czuła się lokalną księżniczką. Jedną z rzeczy, które nie podobały jej się w małżeństwie, była konieczność porzucenia swojego nazwiska. Zaproponowała nawet Clyde'owi, że wzorem kobiet, które robią dziś wielką karierę, przyjmie podwójne nazwisko: Kathy Calder-Hicks. Clyde zgodził się, ponieważ jednak widziała, że mu to nie w smak, aby go udobruchać, czyniąc tradycji zadość, została więc Kathy Hicks.

Spojrzała na zegar. Zbliżała się szósta. Clyde i ojciec byli w polu i robili coś z irygacją, a na kolację wszyscy mieli się

stawić o siódmej. W każdej chwili mogła się zjawić matka z ciastem, które upiekła na deser. Kathy uprzątnęła zlew i ułożyła kukurydzę w garnku. Wytarła ręce w fartuch i ściszyła radio. Teraz musiała już tylko obrać kartofle, a kiedy upora się z nimi, Buck Junior na ganku będzie już z pewnością domagał się w głos jedzenia, więc go nakarmi, a potem wykąpie i jak najpiękniej wystroi na powitanie dziadka.

• • •

Krowy na górnej łące jak na komendę podniosły łby, gdy wilk wynurzył się spomiędzy drzew. Zatrzymał się na skraju trawy, jak gdyby dając im okazję, żeby mu się dobrze przypatrzyły. Nigdy dotąd nie widziały jeszcze takiego stworzenia. Być może uznały go za kojota, większego od tych, które widywały, i ciemniejszego. Kojot był groźny tylko dla małego cielaka. Być może wydał im się podobny do psów z rancza, które biegały czasami między nimi; krowy musiały zwracać na nie uwagę tylko wtedy, gdy kłapały koło pęcin i trzeba było iść tam, gdzie nie bardzo chciało się iść.

Wilk natomiast ledwie musnął je spojrzeniem. Wszystkie jego zmysły skupione były na czymś innym, na czymś koło domu, opuścił więc łeb i spojrzał ponad łąką w tym kierunku. Poruszał się teraz bardzo wolno, ostrożnie, ale krów nie ominął, tylko przeszedł między nimi. Jego brak zainteresowania był jednak tak wyraźny, że bardzo szybko zwierzęta powróciły do skubania trawy.

Wraz z tym, jak słońce chowało się za wzgórzami, linia cienia posuwała się po trawie przed domem, a potem wpełzła na ganek, niczym przybierająca podczas przypływu woda, tak że najpierw szarością zostały zalane koła, potem spód dziecięcego wózka, jednocześnie zaś bordowe ściany jeszcze bardziej pociemniały.

Wilk doszedł już do skraju łąki i zatrzymał się przy płocie,

do którego Clyde doprowadził rurę, pod nią ustawiając starą emaliowaną wannę dla bydła, na wypadek gdyby strumień wysechł. Para srok wzleciała z kępy wierzb nad strumieniem i zrobiła nad wilkiem kilka kręgów, szydząc z niego, jak gdyby ptaki wiedziały, jaki ma tutaj interes, ale mało je to obchodziło. Nie zwrócił na nie uwagi, natomiast z wózka odległego teraz nie więcej niż o dwadzieścia metrów dobiegł w miarę udatnie podrobiony przez dziecko głos ptasi, z upodobaniem kilkakrotnie powtórzony.

• • •

W domu zaterkotał telefon. Dzwoniła matka Kathy. Ciasto się przypaliło, ale nie trzeba się martwić, bo w lodówce znajdzie się coś innego.

— Aha, i Luke powiedział, że też przyjdzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie.

Luke, brat Kathy, skończył właśnie osiemnaście lat. Był bardzo miły dla dziecka, ilekroć spotkali się na ranczu, ale między nim i Kathy nie układało się zbyt dobrze, a od czasu jej małżeństwa Luke pojawił się w domku ledwie kilka razy. W dzieciństwie nie byli ze sobą blisko, ale nikt nie był blisko z Lukiem. Z wyjątkiem, oczywiście, mamy. Tylko ona potrafiła dać sobie radę z jego jąkaniem.

Kathy zawsze brakowało cierpliwości. Nawet kiedy dorosła na tyle, aby być trochę bardziej wyrozumiała, i tak nie mogła znieść faktu, że trzeba za niego kończyć zdania, gdy się zablokuje. Od czasu kiedy przed kilkoma miesiącami skończył liceum, nie widziała go jeszcze. Miała wrażenie, że stawał się coraz większym odludkiem, zawsze sam na pustkowiu i tylko z tym śmiesznym koniem do towarzystwa.

Tak czy owak, miał przyjść na kolację. I dobrze.

Matka zapytała, jak dziecko, a Kathy powiedziała, że świetnie i że chyba powinny kończyć, gdyż zbliża się czas karmienia, a poza tym musi jeszcze zrobić kilka rzeczy.

Odkładała słuchawkę, kiedy psy zaczęły warczeć.

Normalnie nie zwróciłaby na to uwagi, psy bowiem zawsze ujadały i srożyły się na tego czy innego przybłędę. Teraz jednak było w ich głosach coś takiego, co kazało jej spojrzeć w okno.

Maddie, stara suka collie, z ogonem podwiniętym pod siebie przemykała się pod ścianą stodoły, powarkując do tyłu. Prince, żółty labrador, którego Kathy dostała od ojca, kiedy się tu przenosiła, szczerzył kły i skakał to do przodu, to do tyłu. Uszy to stawały w szpic, to kładły się gładko, jak gdyby pies nie był pewien siebie i dlatego szczekanie przeplatał pełnym niepokoju popiskiwaniem. Ślepia wpatrywały się w coś poza domem, na łące.

Kathy zmarszczyła czoło. Chyba lepiej będzie, jeżeli wyjdzie, żeby zobaczyć, o co chodzi. Garnek, w którym gotowała kukurydzę, zaczął syczeć, podeszła więc do piecyka i przykręciła płomień. Kiedy wyszła na podwórko kuchennymi drzwiami chronionymi moskitierą, collie już gdzieś zniknęła. Prince, wydawało się, poczuł ulgę na widok swojej pani.

— Ej, Prince, co tu się dzieje?

Pies zrobił ruch w jej kierunku, ale potem jakby zmienił zdanie. Być może jej obecność dodała mu odwagi. Szczekając na całą gardziel, rzucił się za róg domu, zostawiając za sobą obłok kurzu.

Dopiero teraz spadło to na nią. Dziecko. Coś na ganku dobierało się do dziecka. Puściła się biegiem. Niedźwiedź. Albo puma. Boże, jakżeż mogła być taka durna?

Kiedy wybiegła zza domu, natychmiast zobaczyła tuż pod gankiem wielkiego czarnego psa, przypominającego owczarka niemieckiego, który sprężył się, czekając na atak labradora.

— Wynoś się stąd! Won!!!

Zobaczyła żółty błysk ślepi i wtedy już wiedziała, że to nie pies.

Prince gwałtownie zatrzymał się przed wilkiem i przypadł do ziemi na łapach rozstawionych tak szeroko, że brzuchem niemal dotykał piachu. Z obnażonymi kłami warczał i poszczekiwał, ale zaciekłości było w tym tak niewiele, iż w każdej chwili mógł odwrócić się i uciec. Wilk stał nieruchomo, tylko jakby bardziej jeszcze urósł, potężny naprzeciw psa. Puszysty ogon uniósł sztywno, powoli ściągnął wargi, ukazał białe kły i warknął.

A potem znienacka chwytał już kłami gardło labradora, by powalić go i cisnąć nim w powietrze, jak gdyby nie był cięższy od królika. Pies zaskowyczał, a Kathy nagle wyobraziła sobie, jak wilk robi to samo z dzieckiem, wrzasnęła więc i skoczyła na ganek.

Wózek znajdował się na drugim końcu i można by pomyśleć, że biegła do niego całe kilometry.

O Boże, błagam, nie pozwól mu umrzeć. Nie daj, proszę!

Nie widziała na wózku żadnych uszkodzeń, ale nawet pomimo psiego zawodzenia słyszała, że dziecko się nie odzywa, i na samą myśl o tym, co zobaczy, targnął nią szloch.

Kiedy dobiegła w końcu, bała się zajrzeć do środka, ale przemogła się, dziecko zaś spojrzało na nią i rozciągnęło buzię w gumowym uśmiechu, z krzykiem więc porwała je i przytuliła. Zrobiła to tak gwałtownie, że malec uderzył w płacz, a przygarniała go tak mocno, że krzyczał coraz głośniej. Odwróciła się teraz, oparła plecami o ścianę i spojrzała w dół.

Wilk stał nad labradorem z opuszczonym pyskiem i Kathy natychmiast zrozumiała, że pies zdycha; łapy drgnęły mu tak, jak to czasami działo się podczas snu, a potem znieruchomiały. Miał rozerwane gardło, a brzuch otwarty niczym wypatroszona ryba. Pożółkłą trawę zalewała czerwień. Kathy krzyknęła znowu, a wilk spojrzał na nią tak, jakby w ogóle nie pamiętał o jej istnieniu. Patrzył na nią nieruchomo i widziała krew połyskującą na jego pysku.

— Wynoś się! Precz! Won!!!

Rozejrzała się za czymś do rzucenia, ale nie było już po co. Wilk uciekał i po chwili zanurkował pod płotem, by pobiec, klucząc pomiędzy krowami, które oderwały łby od trawy i zaciekawione przyglądały się widowisku. Na skraju łąki zatrzymał się i obejrzał na Kathy, która stała nad martwym psem, przyciskała dziecko i płakała. Potem odwrócił się i zniknął w cieniu lasu.

2

Biura zespołu tropienia wilków Służby Ochrony Przyrody Żywej Stanów Zjednoczonych znajdowały się w spokojnej dzielnicy Heleny na trzecim piętrze budynku z czerwonej cegły. Na zewnątrz nie było żadnego znaku, który by o tym informował, a gdyby nawet był, to i tak zapewne nie pozostałby długo. Dookoła mieszkali ludzie, którzy nie przepadali za żadnymi urzędami, a już zwłaszcza takimi, których jedyny cel stanowiła ochrona najbardziej obrzydliwych stworzeń, jakimi mógł się popisać Pan Bóg. Dan Prior i jego podwładni dobrze wiedzieli, że kiedy chodziło o wilki, najlepiej było nie robić zbyt wiele szumu wokół sprawy.

W poczekalni stała gablota, z której mniej czy bardziej przyjaźnie spoglądał na ich wysiłki wypchany wilk. Plakietka z boku gabloty informowała, że jest to *Canis lupus irremotus*, wilk z północnych Gór Skalistych, ale z przyczyny, której nie znał już nikt w biurze, znany on był jako Fred.

Dan miał zwyczaj rozmawiania z Fredem, szczególnie podczas długich wieczorów, kiedy wszyscy inni szli do domów, jemu zostawiając zmaganie się z kolejną polityczną awanturą, w jakie raz po raz wplątywali ich co bardziej żwawi pobratymcy Freda. Przy takich okazjach Dan czasami

obdarzał swego milczącego kompana bardziej dosadnymi określeniami.

Dzisiaj na szczęście na nic takiego się nie zanosiło. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Dan zamierzał wyjść z pracy wcześnie. Miał randkę, a ponieważ nieostrożnie zdradził się z tym, przez cały tydzień w biurze nabijano się z niego. Kiedy otwierał drzwi wyjściowe, wcześniej wepchawszy do teczki jakieś papiery, wszyscy wykrzyknęli zgodnym chórem:

— Miłego wieczoru, Dan!

— Serdeczne dzięki — powiedział przez zaciśnięte zęby, co zostało powitane śmiechem. — Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co jest tak cholernie interesującego w moim prywatnym życiu?

Donna, sekretarka, wyszczerzyła zęby. Była dużą, dobrotliwą kobietą pod czterdziestkę, prowadzącą biuro z pogodą ducha, która nie opuszczała jej nawet w najtrudniejszych momentach. Wzruszyła ramionami.

— Chyba to, że dotąd nic o nim nie było słychać.

— Wszyscy jesteście zwolnieni.

Machnął ręką, zasugerował Fredowi, żeby przepłoszył im trochę te uśmieszki z twarzy, i właśnie robił krok przez próg, kiedy zadzwonił telefon.

— Nie ma mnie — powiedział bezgłośnie do Donny i tyle go było widać.

Nacisnął guzik windy i czekał, słuchając, jak kable ocierają się o stalowe drzwi. Z lekkim trzaskiem kabina stanęła.

— Dan!

Z ręką na klamce poczekał na nadbiegającą Donnę.

— Mam coś na początek tego twojego nowego prywatnego życia.

— Wiesz co, Donna? A ja już myślałem, żeby dać ci podwyżkę.

— Przepraszam, ale pomyślałam, że lepiej cię zawiadomić. Dzwonił farmer z Hope, Clyde Hicks. Powiedział, że przed

chwilą wilk chciał pożreć jego dziecko.

• • •

Po dwudziestu minutach i sześciu telefonach Dan jechał samochodem do Hope. Cztery rozmowy przeprowadził ze strażnikami dzikiej zwierzyny, leśnikami oraz innymi pracownikami Służby Ochrony Przyrody Żywej, ale żaden z nich nic nie słyszał na temat wilka grasującego w okolicach Hope. Piątą odbył z agentem kontroli drapieżników, Billem Rimmerem, po to aby on także pojechał do Hope i przeprowadził sekcję zabitego psa.

Ostatni telefon przeznaczony był dla Sally Peters, niedawno rozwiedzionej dyrektor do spraw marketingu w firmie sprzedającej paszę dla bydła. Dwa miesiące Dan zbierał się na odwagę, aby zaproponować jej spotkanie. Sądząc po tym, jak zareagowała na informację, że musi odwołać wspólną kolację, następnym razem — jeśli taki się w ogóle zdarzy — potrwa to jeszcze dłużej.

Z Heleny do Hope była prawie godzina drogi i kiedy z autostrady międzystanowej Dan skręcał na zachód w kierunku gór, które ciemniały na tle jasnoróżowego nieba, miał czas, aby rozmyślać, dlaczego to tak jest, że każdy, kto zajmował się wilkami, musiał w końcu dostać od nich za swoje.

Przez lata poznał wielu biologów, którzy specjalizowali się w innych zwierzętach, od ryjówek po pingwiny, a chociaż było pomiędzy nimi paru popaprańców, to jednak zasadniczo udawało im się brnąć przez życie w sposób, który nie różnił ich od reszty ludzkości. I tylko nauka o wilkach okazywała się sferą nadzwyczaj niebezpieczną.

Jej reprezentanci przodowali we wszystkich kategoriach: rozwodach, kryzysach nerwowych, samobójstwach. Na tym tle Dan wyróżniał się całkiem pozytywnie. Jego małżeństwo trwało niemal szesnaście lat i niewykluczone, że stanowiło to jakiś rekord. I nawet jeśli jego eks, Mary, nie rozmawiała

z nim, to jednak Ginny, ich córka, która dwudziestego kończyła czternaście lat, uważała, że jako ojciec jest w porządku. Więcej, uwielbiała go i było to uczucie odwzajemnione. Jeśli jednak nie liczyć Ginny, jakimi jeszcze sukcesami mógłby się popisać on, czterdziestojednolatek, po tych wszystkich latach spędzonych na opiece nad wilkami?

Uciekając przed odpowiedzią na własne pytanie, Dan nachylił się i włączył radio. Pomiędzy reklamami i wszędobylską muzyką country (której nie polubił po trzech latach spędzonych w Montanie) natrafił na lokalne wiadomości. Ostatnia z nich ani trochę nie poprawiła jego nastroju.

Mówiła o „wilczej napaści" na ranczo w pobliżu Hope i o tym, jak wnuk jednej z najbardziej poważanych w okolicy osobistości, Bucka Caldera, uniknął pewnej śmierci tylko dzięki poświęceniu domowego labradora, który przypłacił to życiem.

Dan jęknął. Media już się dorwały. Tego tylko było potrzeba. A co gorsza, zdążyli już przeprowadzić telefoniczny wywiad z Calderem. Dan słyszał o nim, ale nigdy się nie poznali. Głęboki, nieszczery głos polityka; wszystkie żądła ociekały miodem.

„Rząd federalny rozpuścił te wszystkie dzikie wilki w Yellowstone, a teraz zaroiło się od nich wszędzie i nie są bezpieczne żadna matka ani żadne dziecko. A czy wolno nam bronić się przed nimi, chronić nasz inwentarz i nasze majątki? Nie, nie wolno. I dlaczego? Ponieważ rząd wmawia nam, że te bestie nadal należą do zagrożonych gatunków. Otóż tyle samo w tym sensu, ile sprawiedliwości!"

Wywiad skończył się i Dan wyłączył radio.

Facet miał trochę racji. Jeszcze parę lat temu w całym regionie było ledwie kilka wilków, które kontynentalnym działem wodnym przywędrowały z Kanady. Potem, po zaciekłych sporach pomiędzy ekologami a farmerami, rząd

postanowił w ramach ochrony gatunku odnowić stado wilków. Kosztem wielkich wydatków schwytano w Kanadzie sześćdziesiąt sześć wilków, przewieziono je do parku Yellowstone oraz Idaho i tam uwolniono.

W odpowiedzi na powszechne protesty farmerom mieszkającym na tak zwanych eksperymentalnych terenach pozwolono zastrzelić każdego wilka, który zaatakowałby ich dobytek. Tymczasem wilki szybko się mnożyły, a ponieważ kiepsko się znały na mapie (czy może, przeciwnie, ponieważ nieźle się znały), przeniosły się w okolice, gdzie za zabicie wilka groziła grzywna do 100 000 dolarów, a nawet więzienie.

Hope należało do takich właśnie okolic. Co więcej, wilków serdecznie tutaj nienawidzono. Jeśli jeden istotnie pokazał się dzisiaj, trzeba go było jak najszybciej wytropić.

Mniej więcej dziesięć lat temu Służba Ochrony Przyrody Żywej przeprowadziła w całym stanie spotkania, na których ludzie mogli dać wyraz swoim opiniom o rządowym programie ochrony wilków. Niektóre z nich odbywały się w bardzo burzliwej atmosferze, ale to w Hope pobiło wszystkie rekordy.

Przed ratuszem stała spora grupa uzbrojonych młodych ranczerów i drwali, którzy przez cały czas wznosili wrogie okrzyki, w środku zaś, gdzie broń była zakazana, wcale nie było mniej groźnie. Poprzednikowi Dana, człowiekowi o legendarnych talentach dyplomatycznych, udało się zapanować nad salą, kiedy jednak zebranie dobiegło końca, dwóch drwali przyparło go do ściany, obrzucając pogróżkami. Wychodził z ratusza o wiele bledszy, niż tam wchodził, na schodach zaś zobaczył, że ktoś oblał jego samochód galonem czerwonej farby.

W oddali zamajaczyło Hope.

Należało do tego typu mieścin, przez które przejeżdża się i natychmiast o tym zapomina. Jedna centralna ulica długa na kilkaset metrów, z żebrami kilku przecznic. Na jednym

jej końcu znajdował się podupadły hotel, na drugim — szkoła, a między nimi były stacja benzynowa, sklep spożywczy, sklep metalowy, gospoda, pralnia samoobsługowa i kuśnierz.

Większość z pięciuset mieszkańców żyła w dolinie, a zaspokojeniu ich różnorakich potrzeb duchowych służyły dwa kościoły i dwie knajpy. Były też dwa sklepy z upominkami, co świadczyło raczej o optymizmie niż ekonomicznym myśleniu, chociaż bowiem letni turyści często przeciągali przez Hope, zatrzymywali się tutaj raczej rzadko.

Próbując temu zaradzić, a także wychodząc naprzeciw potrzebom skromnej, lecz rosnącej grupy tych, którzy kupowali tutaj działki, jeden z tych sklepów (bez wątpienia lepszy) zainstalował automat cappuccino. Nazywał się Paragon i Dan, gdy czasami tędy przejeżdżał, zatrzymywał się na kawę — także za sprawą właścicielki.

Pochodziła z Nowego Jorku i była ładna. Nazywała się Ruth Michaels, a podczas dwóch czy trzech rozmów udało mu się ustalić tyle, że prowadziła galerię sztuki na Manhattanie, a gdy rozpadło się jej małżeństwo, przyjechała do Montany na wakacje, po czym, zakochawszy się w okolicy, została. Z chęcią dowiedziałby się o niej znacznie więcej.

Cappuccino nie bardzo odpowiadało gustom miejscowych, którzy woleli kawę słabszą i zaparzaną, taką, jaką serwowano po drugiej stronie ulicy w barze U Nelly. I oto ze smutkiem, ale bez specjalnego zdziwienia Dan dostrzegł na frontowym oknie Ruth informację „Na sprzedaż".

Dalej, przed zapuszczonym barem, trafnie nazwanym Ostatni Postój, gdzie umówił się z Billem Rimmerem, zobaczył pick-upa i jego właściciela. Bill urodził się i wychował w Montanie, czego potwierdzeniem były sumiaste blond wąsy i stetson. Ponieważ miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, Dan zawsze czuł się przy nim jak karzełek.

Był parę lat młodszy, znacznie lepiej się też trzymał, a Dan nie potrafiłby właściwie wytłumaczyć, dlaczego go tak lubi.

Gdy wysiadł z samochodu, Bill powitał go siarczystym klepnięciem w ramię.

— No i jak tam, stary?

— Mówiąc szczerze, Bill, miałem na wieczór przyjemniejsze plany niż spotkanie z tobą.

— Ty dopiero potrafisz przemówić człowiekowi do serca, Dan. Co, jedziemy?

— Chyba tak, chociaż zdaje się, że nie będziemy wcale pierwsi. Słyszałeś w radiu?

— Mhm. Podobno na miejscu jest już także telewizja.

— Cudownie.

— Sukinsyn znalazł sobie piękne miejsce na występ.

— Poczekaj, Bill, nie wiemy jeszcze, czy to na pewno był wilk.

Wsiedli do pick-upa i ruszyli Main Street. Było prawie wpół do ósmej i Dan zaczął się martwić, że może zrobić się ciemno. Miejsce napadu zawsze lepiej oglądać za dnia, a poza tym ci, których ściągnęła wieść o „wilczej napaści", najpewniej zadeptali już wszystkie ślady.

On i Rimmer zaczęli pracować niemal w tym samym czasie. Ich poprzednicy byli w znacznym stopniu odpowiedzialni za program „odbudowy wilczego stada" i niedługo po jego rozpoczęciu podali się do dymisji właściwie z tych samych powodów. Przejechali się na wilkach: mieli już dość nieustannych waśni z farmerami, którzy uważali, że urzędnicy nic nie robią, aby kontrolować wilczą inwazję, oraz z ekologami, którzy zarzucali im brak opieki nad zagrożonymi drapieżnikami. Trudno się wybronić w takiej sytuacji.

Rimmer był zatrudniony w Inspekcji Szkód Zwierzęcych, która podlegała Departamentowi Rolnictwa, i to do niego zwracano się w pierwszej kolejności, kiedy gospodarze mieli kłopoty z drapieżnikami: niedźwiedziami, kojotami, pumami

czy wilkami. Był śledczym, sędzią, a jeśli wymagała tego potrzeba — także wykonawcą wyroku. Biolog z wykształcenia, nie afiszował się ze swoją miłością do dzikich zwierząt, a ponieważ sprawnie posługiwał się też strzelbą i sidłami, szanowali go nawet ci, którzy z wrodzoną nieufnością odnosili się do urzędników wszelkiej maści.

Nosił się jak kowboj, a ponieważ łatwo nawiązywał kontakt z ranczerami, lepiej od Dana dawał sobie radę z rozsierdzonymi właścicielami cielaka lub owcy, gdy zwierzę powalił wilk, prawdziwy czy rzekomy. Dla nich Dan był zawsze przybyszem ze Wschodniego Wybrzeża. Główna jednak różnica polegała na tym, że o ile w Billu widzieli oni osobę, która może pomóc rozwiązać problem, o tyle Dan był dla nich tym, który go powodował. Dlatego też Dan czuł się zawsze pewniej, kiedy miał u boku Rimmera, szczególnie w obliczu takiej jak ta sytuacji.

Zjechali z asfaltu na szarą żwirówkę, która zakolami biegła w kierunku gór. Przez chwilę milczeli, zasłuchani w terkot kół, które zostawiały za sobą welon pyłu. Dan czuł na twarzy ciepły wieczorny powiew. Nad pasem bylicy pomiędzy drogą a ciemniejącym pasmem nadrzecznych topoli jastrząb zataczał koła, wypatrując wieczornej przekąski. Dan pierwszy przerwał ciszę.

— Słyszałeś kiedyś, żeby wilk rzucił się na dziecko?

— Nie. Pewnie chodziło mu tylko o psa.

— I ja tak myślę. A co z tym Calderem? Znasz go?

— Spotkaliśmy się parę razy. Trudny facet.

— Co masz na myśli?

Rimmer uśmiechnął się i jednym palcem poprawił rondo kapelusza na czole.

— Sam zobaczysz.

Na szczycie masywnej bramy z sosnowych bali zatknięto czaszkę byka. Danowi przypomniało to wejście do roller-coastera na Florydzie utrzymanego w stylu Dzikiego Zachodu i nazwanego Kanion Zagłady, gdzie zeszłego lata

bez pamięci zażywali przejażdżek z Ginny.

Podskakując na wybojach, minęli drewnianą tabliczkę „Ranczo Caldera", obok której widniała mniejsza, świeżo namalowana: „Hicksowie". Może nie ma w tym żadnej drwiny, pomyślał Dan.

Ujechali jeszcze jakieś półtora kilometra pomiędzy porośniętymi krzewami pagórkami, aż zamajaczyło przed nimi ranczo. Wyraźnie odcinało się na tle nieba, przysiadłe na południowym stoku niskiego wzniesienia, które tyleż chroniło przed zimowymi wichurami, ile zapewniało widok na najlepsze pastwiska we włościach Caldera. Chociaż dom zbudowany z masywnych pobielonych bali miał dwie kondygnacje, to jednak z racji swej długości wydawał się niski i mocno osadzony w ziemi.

Przed nim znajdowało się rozległe betonowe podwórze, po jednej stronie obramowane ciągiem pokaźnych, świeżo odmalowanych na biało zabudowań, a po drugiej — najeżone sterczącymi w niebo trzema srebrnymi silosami, które niczym rakiety wznosiły się nad korralami. Kawałek dalej rozpoczynało się pastwisko, a na jego skraju rozłożysta topola wyrastała ze skorupy forda T, którą rdza powlekła tą samą maścią co pasące się wokół konie. Te podniosły łby, śledząc pick-upa i ciągnący się za nim wachlarz pyłu.

Na rozjeździe skręcili w lewo, a po trzech kolejnych kilometrach ze szczytu pagórka zobaczyli w gęstniejącym mroku ciemny kształt domku Hicksów. Rimmer zwolnił, aby mogli się rozejrzeć.

Od frontu zaparkowało sześć czy siedem pojazdów, a chociaż narożnik domu zasłaniał trochę widok, można było zobaczyć tłumek ludzi, który zebrał się wokół tylnego ganku. Ktoś zainstalował reflektor i co kilka chwil błyskały flesze. Dan westchnął.

— A może by tak wrócić do domu?

— Chyba istotnie wygląda to trochę na cyrk.

— Mhm. A teraz jest czas klaunów.